



Centrum Stosunków Międzynarodowych
Center for International Relations

Raporty i Analizy

1 / 03

Klaus Bachmann

KONWENT EUROPEJSKI

**O czym dyskutuje Konwent UE, a o czym powinien
i co należy zrobić, aby go do tego zmusić?**

CENTRUM STOSUNKÓW MIĘDZYNARODOWYCH

ul. Flory 9, 00-586 Warszawa
TEL.: (22) 646 52 67, FAX: (22) 646 52 58
www.csm.org.pl, info@csm.org.pl

WPROWADZENIE

Prace Konwentu powoli wchodzi w decydującą fazę. Po miesiącach spontanicznej debaty, wysłuchiwania opinii organizacji pozarządowych i młodzieży widać coraz więcej podziałów, nieformalnych grup interesów i frakcji. Dwie grupy robocze zakończyły już swoje prace i przedłożyły propozycje Konwentowi. Prezydium Konwentu przedstawiło własny projekt ramowy przyszłego traktatu konstytucyjnego, który przez złośliwych nazywany jest "szkieletem Giscarda", bowiem to właśnie przewodniczący Konwentu odcisnął na nim swoje piętno.

Konwent jest dość osobliwym tworem: został powołany decyzją Rady Europejskiej z Laeken, która wyznaczyła mu konkretne zadania. Jednocześnie wytyczył sobie cel, nieco różniący się od zadań Rady Europejskiej: uchwalenie na tyle zwięzłego i precyzyjnego projektu przyszłego traktatu konstytucyjnego, że obradująca po Konwencie Konferencja Międzyrządowa nie będzie mogła zignorować jego prac, odłożyć projektu do szuflady i napisać swój własny. Żeby takiej sytuacji uniknąć, dokument końcowy Konwentu nie może nie uwzględniać interesów przedstawicieli rządów, reprezentowanych na Konferencji Międzyrządowej. Rządy krajów członkowskich dysponują wprawdzie tylko 28 z 92 miejsc w Konwencie (nie licząc trzech przewodniczących), ale to właśnie one na Konferencji Międzyrządowej zadecydują ostatecznie o losie prac Konwentu. Dlatego przewodniczący Konwentu, Giscard d'Estaing, na każdym posiedzeniu Rady Europejskiej informuje przywódców europejskich o postępach prac. Wraz z trzynastoosobowym Prezydium dba o to, aby sugestie członków Rady dyskretnie przekazać w dół. Wszyscy też zdają sobie sprawę z tego, że Konferencja Międzyrządowa przedstawi potem wynik swoich prac parlamentom narodowym, że wymagana będzie ratyfikacja, w niektórych krajach członkowskich być może nawet referendum. Nie ma więc sensu wywoływać ostrych podziałów i konfliktów - trzeba szukać kompromisów i porozumienia.

Dotyczy to również kandydatów, którzy uczestniczą w pracach Konwentu, choć ich prawa są nieco okrojone: nie mogą oni zapobiec porozumieniu przedstawicieli rządów i parlamentów członkowskich, Komisji Europejskiej (2 przedstawicieli) i Parlamentu Europejskiego (16 członków). Mimo to udało im się na samym początku przeforsować dwie ważne sprawy: możliwość posługiwania się swoimi językami (pod warunkiem, że sami zapewnią tłumaczy) i prawo do oddelegowania jednego przedstawiciela do Prezydium (na prawach "gościa"). Różnice między uczestnikami Konwentu pochodzącymi z krajów kandydujących a delegatami państw UE nie mają na razie praktycznego znaczenia, ponieważ Konwent w ogóle nie głosuje. Nawet

zasady pracy zostały przyjęte bez głosowania. Gdyby doszło jednak do głosowania, członkowie Konwentu z państw piętnastki nie mogą za bardzo ignorować interesów państw aspirujących do UE. Kopenhaska Rada Europejska zdecydowała bowiem, że kandydaci będą mogli uczestniczyć na pełnych prawach w przyszłej Konferencji Międzyrządowej.

KTO RZĄDZI KONWENTEM?

Podział między kandydatami i członkami widoczny był tylko na samym początku, kiedy spierano się o języki robocze i o miejsce w Prezydium dla przedstawiciela kandydatów. Potem, jak twierdzą też uczestnicy Konwentu pochodzący z krajów członkowskich, przedstawiciele krajów kandydujących włączyli się w dyskusję na równi z resztą delegatów, a wygłaszane przez nich opinie i przemówienia nie odbiegały zbytnio od wypowiedzi przedstawicieli krajów członkowskich. W grzyby legł również mit, krążący w mediach, a także wśród publicystów i niektórych obserwatorów w Europie Zachodniej, zgodnie z którym kandydaci są bardziej narodowi, przywiązani do takich pojęć, jak suwerenność, państwo narodowe, przychylni metodzie międzyrządowej i niechętni federalizmowi, zniesieniu zasady jednomyślności i głębszej integracji. Podział na federalistycznych, wspólnotowych zachodnich Europejczyków i na narodowych, międzyrządowych wschodnich Europejczyków nie istnieje w Konwencie. Podstawowy podział na zwolenników głębszej integracji i Europy państw narodowych prawie w ogóle się nie ujawnił. Są natomiast inne, bardziej widoczne podziały.

W Konwencie zasiada 26 członków Parlamentu Europejskiego, zaprawionych w bojach legislacyjnych, dla których debaty o subsydiarności, podziale kompetencji, rozszerzeniu zasady kwalifikowanej większości, to chleb powszedni. Obrady w dodatku toczą się w budynku, który znają jak własną kieszeń, tak samo jak przedstawiciele Komisji i wielu przedstawicieli rządów krajów członkowskich. Znają oni każdy niuans unijnej nowomowy, wiedzą, że w świetle traktatów europejskich "współpraca" nie musi oznaczać tego samego, co "kooperacja", i jakiego wyrazu należy użyć, aby zupełnie niewinnie brzmiące ogólne stwierdzenie stało się prawnym batem, który okaże się potem dla instytucji unijnych zobowiązaniem do konkretnego działania. Parlament Europejski od początku swojego istnienia walczy o to, aby stać się prawdziwym parlamentem, z prawem inicjatywy ustawodawczej, prawem powoływania i odwoływania Komisji i z pełnym prawem do zatwierdzania budżetu. Ostatnią rzeczą, którą życzyłby sobie, byłoby urzeczywistnienie pomysłu, by pozostawić te zadania jedynie w gestii parlamentów narodowych. Nie życzyłby sobie również powołania np. mieszanej instytucji, która zajmowałaby się kontrolą subsydiarności. W Konwencie uczestniczy 28 przedstawicieli rządów członkowskich, z których

wielu uważa, że Bruksela ma za dużo kompetencji, że Komisji trzeba patrzeć na ręce, aby nie uzurpowała sobie za dużo kompetencji, należących do państw członkowskich. Uczestnikami Konwentu jest też 30 przedstawicieli parlamentów narodowych, często zazdrosnych o kompetencje Parlamentu Europejskiego, żądających włączenia parlamentów narodowych w proces stanowienia prawa europejskiego.

Takich chętnych do osłabienia Parlamentu Europejskiego jest o wiele więcej niż posłów PE. Tym ostatnim udało się jednak jak dotąd zapobiec zapisom ograniczającym ich kompetencje. Dokument końcowy grupy roboczej "parlamenty narodowe" świadczy o niezwykłych talentach posłów Europarlamentu: roi się tam od pięknych, "doceniających rolę parlamentów narodowych" sformułowań, ale nie ma ani jednego zapisu, który zwiększałby ich faktyczną rolę w procesie unijnego prawodawstwa. Jeśli odrzucić retorykę, myśl przewodnia tego dokumentu jest następująca: rolą parlamentów narodowych jest kontrola własnego rządu. Jeżeli parlamenty będą to robić lepiej niż dotychczas, to tym samym wzrośnie też ich znaczenie dla Brukseli.

Wydaje się – wobec braku głosowań trudno to stwierdzić z pewnością – że jeżeli Konwent zaproponuje powołanie jakiejś instytucji odpowiedzialnej za kontrolę subsydiarności, to będzie to raczej specjalna izba Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości niż druga lub trzecia izba europejska czy parlamenty narodowe, albo też dodatkowy ombudsman lub komisarz europejski ds. subsydiarności. Grupa robocza "subsidiarność" proponuje dwutorowy mechanizm kontrolny: Komisja będzie prowadziła konsultacje z parlamentami narodowymi w trakcie opracowywania aktu prawnego, ale bez opóźniania procesu legislacji i bez możliwości zmiany lub odrzucenia propozycji Komisji. Na końcu będzie możliwa kontrola legislacyjna, polegająca na możliwości zaskarżenia aktu prawnego w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości przez parlament narodowy, który uważa, że zasada subsydiarności została pogwałcona i już wcześniej zgłosił swoje zastrzeżenia. Dodatkowo Komitet Regionów miałby prawo zaskarżenia aktu prawnego do Trybunału. Jednak również i tu delegaci nie zalecają tworzenia żadnej nowej instytucji, która mogłaby ograniczać kompetencje Parlamentu Europejskiego.

Parlament Europejski nie tylko brawurowo obronił się przed zakusami, których celem było zredukowanie jego roli. Wydaje się, że Konwent przyzna mu zdecydowanie większe kompetencje niż te, które miał dotychczas. Rysuję się bowiem daleko idące porozumienie, by więcej decyzji w Radzie Ministrów UE podejmować przez głosowanie kwalifikowaną

większością. Ubocznym skutkiem takiej opcji byłoby niemal automatyczne przyznanie prawa do współdecydowania Parlamentowi Europejskiemu – co oznaczałoby, że akt prawny nie mógłby wejść w życie bez jego aprobaty. Grupa robocza do spraw osobowości prawnej UE zaleca w swoim raporcie końcowym zniesienie trójfilarowej konstrukcji UE, co implikuje włączenie Parlamentu i Komisji także we Wspólną Politykę Zagraniczną i Bezpieczeństwa oraz Wspólną Politykę Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych.

Nie jest jeszcze jasne, czy Komisja i Rada Ministrów UE wyjdą na swoje, bo nie ma jeszcze raportów z większości grup roboczych. Na początku obrad Konwentu niektóre rządy państw członkowskich Unii traktowały go jedynie jako towarzyski klub dyskusyjny i oddelegowały do niego dość niezależnych intelektualistów. Wygłaszali oni ostre, radykalne opinie, których żaden rząd nie wprowadziłby w życie. Obecnie sytuacja zmieniła się, co najlepiej widać na przykładzie Joschki Fischera, niemieckiego ministra spraw zagranicznych, który zdecydował się osobiście zasiąść w Konwencie, na wzór swojego belgijskiego odpowiednika, Louisa Michela, który uczestniczy w nim od początku. Rządy krajów członkowskich i Komisja starają się konsekwentnie wpływać na obrady od zewnątrz, przedstawiając swoje propozycje podczas konferencji prasowych. Komisja robiła to już dwa razy poza obradami Konwentu, tak samo jak Tony Blair i - na początku obrad Konwentu - rządy krajów Beneluksu, które tradycyjnie zaprezentowały wspólnie swoje koncepcje strategiczne. Odkonwencie odbyło się również spotkanie konserwatywnych premierów UE, zwołane na Sardynii przez premiera Włoch Silvio Berlusconi.

Ten układ sił nie byłby pełny, gdyby pomijał rolę samego przewodniczącego Konwentu, Giscarda d'Estainga. Konwent na razie nie głosuje, ale dyskutuje. Dyskusja ta nie ma wyraźnej linii. Eksperci obserwujący obrady dla różnych instytutów naukowych zauważyli, że nie ma w niej głównego wątku, który łączyłby debaty na plenum i w grupach roboczych. Na razie trudno byłoby sobie wyobrazić jeden spójny dokument końcowy. W dodatku grupy robocze zajmują się sprawami wysoce politycznymi, takimi jak podział władzy w przyszłej Unii, oraz sprawami prawnymi i technicznymi, takimi jak np. kwestia uporządkowania instrumentów legislacyjnych. Brak głosowań i utopienie debaty ustrojowej w morzu innych, mniej ważnych spraw zapobiegły stratyfikacji Konwentu. Dzięki temu nie ma frakcji, nie ma wyraźnych podziałów, nie ma ostrych spiek, które trzeba rozstrzygać w głosowaniach. Im mniej Konwent organizuje sam siebie, tym łatwiej jest dla Prezydium sterować nim zakulisowo, tym większa też jest rola jego przewodniczącego i tym łatwiej jest mu odgrywać rolę arbitra ponad podziałami i "uczciwego

maklera" między poszczególnymi grupami. Giscard robi więc wszystko, aby polaryzacja nastąpiła jak najpóźniej. Dopóki jej nie ma, może przeforsować swoje własne pomysły.

Jednym z jego pomysłów jest Kongres Narodów Europy, który miałyby się zbierać raz do roku, aby wysłuchać sprawozdania prezydenta Rady Europejskiej i Komisji Europejskiej na temat stanu Unii, wypowiedzieć się na temat jej przyszłości i wybrać kandydatów na kilka, bliżej niesprecyzowanych, wysokich stanowisk unijnych. Składałby się on z przedstawicieli Parlamentu Europejskiego i proporcjonalnie z przedstawicieli parlamentów narodowych. Giscard wpisał ten pomysł nawet do pozornie czysto technicznego "szkieletu" traktatu konstytucyjnego, jaki przedstawił 28 października 2002, mimo że poparcie dla tej idei okazało się znikome. Wymienił też kilka nazw, które UE mogłaby przybrać po reformie: Unia Europejska, Zjednoczona Europa, Stany Zjednoczone Europy i Wspólnota Europejska. Prawdopodobieństwo jest więc duże, że większość mówców podczas najbliższych sesji Konwentu rzuci się na te dwa aspekty, wysoce symboliczne, zapominając, że najważniejsze kwestie podziału władzy i architektury instytucji europejskich wciąż pozostają nierozstrzygnięte. Jeśli do tego dojdzie, będzie to miało dwie zalety z punktu widzenia Prezydium: przedłuży debatę, co daje Prezydium bardzo dużą swobodę manewru na końcu, kiedy zabraknie czasu i wszyscy – w obawie przed dyskredytacją w oczach uczestników Konferencji Międzyrządowej – będą błagać Prezydium o przedstawienie jakiejś rozsądnej syntezy krążących po Konwencie, nieuporządkowanych raportów, koncepcji i pomysłów. Giscard będzie miał tym więcej swobody przy opracowywaniu na ich bazie spójnej koncepcji, im później Konwent zajmie się jej tworzeniem.

Drugą zaletą debaty skoncentrowanej na zagadnieniach symbolicznych (Kongres Narodów Europy należy do tego rodzaju spraw, ponieważ nie będzie mieć prawa legislacji) jest to, że w ten oto sposób zniknie z pola widzenia szereg kwestii, których znaczenie wykraczałoby poza sprawy czysto techniczne. A takich spraw jest całe mnóstwo. Już samo rozróżnienie na kompetencje (zapropozowane w "ramówce" Giscarda), którymi dysponuje UE na zasadzie wyłączności, kompetencje, którymi się dzieli z państwami członkowskimi, i obszary, gdzie UE może tylko wspierać politykę państw członkowskich, zakłada milcząco, że przed każdym przesunięciem kompetencji między państwami członkowskimi i UE trzeba będzie zmienić Traktat Konstytucyjny. Fakt, że Giscard pragnie uregulować Wspólną Politykę Zagraniczną i Bezpieczeństwa, Obrony oraz Politykę Wewnętrzną i Sprawiedliwości w odrębnym artykule może tylko świadczyć o tym, że podział kompetencji będzie tam inny niż w obszarze Wspólnego Rynku. Jeśli członkowie Konwentu zgodzą się na taki podział, to tym samym też zaakceptują –

bez podjęcia decyzji – zachowanie przynajmniej dwóch z trzech filarów UE. Wtedy dość popularna propozycja zniesienia trójfilarowej konstrukcji UE wyląduje w koszu, mimo że została ona zgłoszona przez grupę roboczą do spraw "osobowości prawnej UE" w jej raporcie końcowym.

Giscard nie przesądza, jakimi źródłami dochodów powinna dysponować Unia, bo kwestia np. wprowadzenia unijnych podatków (dochodowego, transportowego, ekologicznego etc.) jest wysoce polityczna. Jeżeli jednak delegaci zgodzą się na wyliczenie takich źródeł w jednym z artykułów Traktatu, jak to proponuje Giscard, to automatycznie wykluczą możliwość wprowadzenia dodatkowych źródeł dochodów bez zmiany Traktatu. Reformą procedury budżetowej i zasadami finansowania UE nie zajmuje się dotąd żadna grupa robocza, można więc domniemywać, że i ten – niezmiernie ważny obszar – będzie dyskutowany w ostatnim momencie. To samo dotyczy innych artykułów "ramówki" Giscarda: stosunków UE ze swoimi sąsiadami i zasad przyjmowania nowych członków.

Jeżeli członkowie Konwentu nie chcą pozostawić Prezydium Konwentu lub Konferencji Międzyrządowej najważniejszych decyzji o podziale władzy w przyszłej UE, to powinni jak najszybciej podjąć debatę na tematy zasadnicze i wyartykułować merytoryczne podziały w Konwencie. Inaczej szefowie państw i rządów UE wyręczą członków Konwentu i przedstawią świetnie przygotowane opracowania na temat "kompetencji uzupełniających UE", "osobowości prawnej", "uproszczenia traktatów" i "roli parlamentów narodowych", ale sami będą zupełnie swobodnie decydować o tym, kto powołuje i odwołuje Komisję Europejską i czy rotacja prezydencji Rady będzie utrzymana czy nie. Czym się kończy takie pozostawienie zasadniczych kwestii rządów krajów członkowskich, najlepiej widać było na szczycie nicejskim.

CO NA TO POLSCY DELEGACI DO KONWENTU?

Jeżeli pominąć początkowy spór o miejsce w Prezydium i języki robocze, Konwent dotąd nie wytworzył podziału na członków z krajów kandydujących i członków piętnastki. Istnieje jednak wyraźna różnica między tymi dwoma grupami, jeśli chodzi o wpływ na przebieg debaty. Dopóki Konwent nie głosuje, wszyscy są formalnie równi. Członkowie Parlamentu Europejskiego mają jednak przewagę wynikającą z faktu, że gra toczy się na ich własnym boisku. Członkowie Konwentu z krajów kandydujących są w najgorszym położeniu: przyjeżdżają tylko na obrady do Brukseli, co bardzo ogranicza ich możliwości tworzenia sojuszy i uzgodnienia wspólnych stanowisk przed posiedzeniami, a meritum unijnych debat, unijna nowomowa nie jest ich

chlebem powszednim, ponieważ w wielu krajach kandydujących debata o przyszłości Unii jest jeszcze dość powierzchowna i toczy się według innych reguł i kryteriów niż w krajach piętnastki. Nawet najlepiej przygotowane przemówienia niektórych delegatów nie przesłonią faktu, że ich autorzy zostali dosłownie wrzuceni do zimnej wody unijnej debaty. Próbują teraz – zresztą z wyraźną treścią – pływać we wspólnym europejskim stawie w towarzystwie bardziej doświadczonych kaczek i starają się zatuszować, że ich ruchy są jeszcze nieco nerwowe.

Nie wydaje się, by wystąpienia polskich delegatów były wcześniej przygotowywane, konsultowane i stanowiły część jakiejś spójnej koncepcji. Sprawiają wrażenie spontanicznych wypowiedzi, odnoszących się przeważnie tylko do poszczególnych elementów debaty na forum Konwentu.

Od Józefa Oleksego, delegata Sejmu do Konwentu i jednego z ekspertów europejskich rządzącej SLD, można byłoby oczekiwać, że będzie się starał podbudować proeuropejskie, czasami wręcz federalistyczne podejście swojego ugrupowania do reformy UE, tym bardziej, że pokrywałoby się ono z tendencjami wśród europejskich socjalistów, które zresztą zostały opisane w obszernym dokumencie pod nazwą "new federalism" (nowy federalizm), złożonym przez byłego socjaldemokratycznego przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, Klausa Hänscha. W swoim pierwszym wystąpieniu 21 marca 2002 Józef Oleksy zaproponował więc "podejmowanie kroków w kierunku federacji państw narodowych", ale przy "tworzeniu silnych, niezależnych struktur ponadpaństwowych, podejmujących decyzje", więcej mechanizmów solidarnościowych (w ramach których bogaci wspieraliby biednych), "bez redukcji ich rozmiarów". Mimo swej sympatii do "ponadpaństwowych struktur" opowiadał się jednak za zachowaniem trójfilarowej konstrukcji UE, to znaczy za tym, by Parlament Europejski i Komisja nadal były wyłączone z uczestnictwa w podejmowaniu decyzji w ramach Wspólnej Polityki Wewnętrznej i Sprawiedliwości oraz Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. Zaledwie miesiąc później optował już za tym, aby nadać UE kompetencje nie tylko w polityce bezpieczeństwa, ale również w sprawach obronnych. Im więcej czasu Józef Oleksy spędza w sali Konwentu, tym bardziej staje się federalistyczny: W maju opowiadał się już za "uwspółnotowaniem polityki bezpieczeństwa i obrony do pewnego stopnia". Wtedy też zaproponował stworzenie urzędu prezydenta UE, który miałby przewodniczyć Radzie Europejskiej, za co został ostro skrytykowany przez polskich przeciwników wstąpienia do Unii. Można domniemywać, że odnieśli oni pewien sukces, ponieważ w swoim wystąpieniu z 11 września 2002 Oleksy opowiedział się za swoją pierwotną koncepcją "zachowania filarów UE",

zwłaszcza zaś wypowiedział się za pozostawieniem trzeciego filaru (sprawy wewnętrzne i sprawiedliwości) w gestii państw członkowskich: "Prawo karne zawsze było narzędziem polityki państwowej." Jednocześnie jednak poparł rozszerzenie zasady głosowania kwalifikowaną większością i prawo Parlamentu Europejskiego do współdecydowania. Kilka tygodni wcześniej podpisał się pod wspólną deklaracją zwolenników metody wspólnotowej (m. in. Elmara Broka, Petera Glotza, Hansa van Mierlo, Klause Hänscha, Karela de Gucht i Jacquesa Santera), postulującą wzmocnienie Komisji Europejskiej, wybór prezydenta Komisji przez Parlament Europejski i rozszerzenie zasady głosowania kwalifikowaną większością w Radzie Ministrów UE przy jednoczesnym prawie współdecydowania przez Parlament Europejski. Jednak już 11 września 2002 zaproponował osłabienie tej samej Komisji, odbierając jej wyłączne prawo do inicjatywy ustawodawczej w pierwszym filarze. Jak stwierdził, prawo państw członkowskich do inicjatywy w trzecim filarze (w którym Komisja jak dotąd w ogóle nie ma prawa decyzji) sprawdziło się tak dobrze, że należy je też wprowadzić w sprawach Wspólnego Rynku dla grupy trzech lub więcej państw występujących razem.

Przedstawicielka polskiego rządu, Danuta Hübner, zazwyczaj zastrzega, że wygłasza "osobiste opinie", co przynajmniej sugeruje, że nie muszą one zgadzać się z linią rządu. W pierwszym wystąpieniu nakreśliła obszerną koncepcję ułożenia stosunków między rozszerzoną UE i jej wschodnimi sąsiadami. Koncepcja ta obejmowała nawet włączenie spraw wewnętrznych do nowej "Rady Konfederacyjnej" (zastępującej, jak można przypuszczać, dotychczasowe Rady Stowarzyszeniowe) z udziałem unijnej trójki ministrów spraw zagranicznych i przewidywała udział szefów państw Ukrainy, Mołdawii i krajów bałkańskich na szczytach europejskich. Unia powinna asymetrycznie otwierać swój rynek w miarę postępu reform ekonomicznych w tych krajach, zachować z nimi otwarte granice, rozszerzyć współpracę transgraniczną i rozciągnąć współpracę nawet na politykę obronną. Ten ambitny program stanowi swoistą rekompensatę za brak pełnego członkostwa w Unii. W zamian pani Hübner proponuje sąsiadom "konfederację, która dla nas była nie do zaakceptowania, ale która byłaby odpowiednia dla Ukrainy, Mołdawii i Bałkanów", zapominając, że przystąpienie do UE nadal pozostaje, przynajmniej formalnie, jednym z priorytetów ukraińskiego rządu. Nasuwa się tu pytanie, które w Polsce w ogóle jeszcze nie było dyskutowane: dlaczego Unia miałaby tworzyć instytucje (Rady Konfederacyjne) dla jednych sąsiadów, a dla innych nie (region Morza Śródziemnego, członkowie Europejskiej Przestrzeni Gospodarczej, którzy nie są kandydatami, kraje stowarzyszone bez statusu kandydata, takie jak Turcja, Izrael, dawne kolonie dzisiejszych członków UE lub po prostu Białoruś, która się w ogóle nie pojawia jako sąsiad UE w tekście pani Hübner)? Czy nie

należałoby od razu zaproponować spójnej koncepcji dla wszystkich, która nie zrażałaby państw członkowskich, zainteresowanych zacieśnieniem stosunków z innymi państwami spoza UE (Hiszpania jest zainteresowana bliższymi stosunkami z Ameryką Łacińską, Francja – z Afryką północną, zaś Belgia – z Afryką centralną)?

Danuta Hübner jak dotąd zgłasza spośród polskich przedstawicieli w Konwencji najbardziej szczegółowe propozycje w kwestiach, które w łonie piętnastki są najintensywniej dyskutowane. Ma dość precyzyjne wyobrażenia, jak rozwiązać konflikt kompetencji między komisarzem ds. spraw zagranicznych Unii, Chrisem Pattenem, i wysokim przedstawicielem UE ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa (podlegającym Radzie Ministrów), Javierem Solaną. Jak przystoi na przedstawicielkę rządu, Hübner opowiada się za wzmocnieniem pozycji tego ostatniego, który według niej miałby przewodniczyć Radzie do Spraw Ogólnych UE oraz Komitetowi ds. Polityki Bezpieczeństwa i Spraw Zagranicznych i jednocześnie zastąpiłby rotacyjną prezydencję Rady Ministrów UE. Otwarte pozostaje pytanie, czy wobec tego "trójka" ministrów spraw zagranicznych UE – uczestnicząca według propozycji pani minister w "Radach Konfederacyjnych" wschodnich sąsiadów UE – miałaby jeszcze rację bytu. Pani Hübner ma również radykalne poglądy na temat unijnej dyplomacji: proponuje stworzenie unijnego korpusu dyplomatycznego, który składałby raporty do urzędu Solany i zastępowałby narodowe ambasady wszędzie tam, gdzie nie ma "silnych interesów narodowych państw członkowskich". Opowiada się również za stworzeniem wspólnego, unijnego korpusu straży granicznej. Jej poparcie dla rozszerzenia zasady głosowania kwalifikowaną większością w Radzie Ministrów UE i prawa Parlamentu Europejskiego do współdecydowania jest niemal bezwarunkowe. Chce ona z tego uczynić zasadę i wyłączyć tylko (bliżej niesprecyzowaną) listę wyjątków, "żywotnych interesów narodowych", co do których nadal istniałoby narodowe weto. Niektóre wyjątki wymienia: sprawy związane z Unią Walutową i z decyzją o dochodach własnych UE. Tu przedstawicielka kraju, walczącego o swój status jako beneficjenta netto unijnego budżetu ma wielkie serce dla płatników netto, finansujących ten budżet: Powinni oni mieć możliwość obrony przed wzrostem transferów dla krajów biedniejszych!

Żaden z polskich delegatów jak dotychczas nie zajął się szczegółowo problemami ustrojowymi przyszłej Unii. Kwestią tą ma się zająć odrębna grupa robocza. Jednak Prezydium Konwentu na razie nie chce jej powołać, ponieważ Giscard uważa, że najpierw należy rozstrzygnąć podstawowe dylematy Unii. Problem polega jednak na tym, że w tej chwili delegaci wypowiadają się na temat stosunków między poszczególnymi instytucjami unijnymi, nie biorąc

pod uwagę, czy i w jakiej formie one będą istnieć. Jaskrawym przykładem może być obszerna propozycja Marty Fogler i Edmunda Wittbrodta zmian mechanizmów uchwalania unijnego budżetu i radykalnego rozszerzenia zasady głosowania kwalifikowaną większością w Radzie Ministrów UE i prawa współdecydowania w Parlamencie Europejskim w sytuacji, kiedy ani przyszły kształt Komisji, ani Rady Ministrów nie są jeszcze jasne.

Przy wszystkich rozbieżnościach wśród polskich delegatów istnieją jednak też wspólne obszary. Wspólne dla wszystkich jest przekonanie o konieczności zapewnienia instytucjonalnej ochrony subsydiarności. Wszyscy polscy delegaci, wypowiadający się na ten temat, są przeciwni proponowanemu przez przedstawicieli niemieckich landów sztywnemu "katalogowi kompetencji", rozgraniczającemu kompetencje UE od kompetencji krajów członkowskich i regionów. Taki katalog oznaczałby bowiem *de facto* zamrożenie na kilkanaście lat obecnego stanu integracji – za każdym razem, kiedy kraje członkowskie chciałyby przekazać UE dodatkowe kompetencje, musiałyby zmienić jej konstytucję!

CZY OBRONA SUBSYDIARNOŚCI JEST OBRONĄ SUWERENNOŚCI?

Na początku polskiej debaty o reformie UE rządy w Polsce opowiadały się za współpracą międzyrządową i sprzeciwiały się Wspólnej Polityce Obronnej i elastycznej współpracy. Potem powoli odeszły od tych pozycji. Wydaje się, że przywiązanie do tradycyjnie pojętej suwerenności w sprawach europejskich przesunęło się teraz na inny obszar: Wszyscy delegaci polscy do Konwentu (którzy ujawniają swoje poglądy na ten temat) są zwolennikami daleko posuniętego włączenia parlamentów narodowych w unijny proces decyzyjny. Józef Oleksy jest przeciwny drugiej izbie UE, zrzeszającej przedstawicieli parlamentów narodowych, ale pragnie "zinstytucjonalizowanej roli dla narodowych parlamentów" i "włączenia sektoralnych komisji narodowych parlamentów w pracę Parlamentu Europejskiego." Można to sobie wyobrazić w taki sposób, że członkowie Sejmowej Komisji Ochrony Środowiska będą obradować razem z Komisją Ochrony Środowiska Parlamentu Europejskiego. Oleksy nie definiuje obszarów takich "wspólnych zainteresowań", Danuta Hübner natomiast chce, aby parlamenty narodowe stworzyły nową instytucję, kontrolującą realizację zasady subsydiarności. Podpisała się ona pod wspólnym wnioskiem kilku innych delegatów (m. i. Petera Glotza i Pierre'a Moscovicio), aby interpretować art. 308 Traktatu o Wspólnotach Europejskich w ten sposób, aby możliwa była nawet renacjonalizacja kompetencji unijnych na rzecz państw członkowskich. Wniosek został natychmiast skrytykowany przez grupę umiarkowanych federalistów, uważających, że w ten sposób powstałaby faktycznie trzecia izba UE (obok Rady Ministrów i Parlamentu). Faktycznie

taka interpretacja art. 308 byłaby sprzeczna z postulatem Traktatu o UE o "coraz ściślejszej Unii" ("ever closer Union"). Polska obrona państwa narodowego i suwerenności nie odbywa się więc pod hasłem "metody międzyrządowej", lecz pod hasłami zwiększenia roli parlamentów narodowych i ochrony zasady subsydiarności.

Oleksy, Fogler i Wittbrodt opowiadają się za kontrolą *ex post* zasady subsydiarności przez specjalną izbę Trybunału Sprawiedliwości, Hübner i Fogler są też za stworzeniem specjalnej instytucji, która strzegłaby zasady subsydiarności przed uchwaleniem aktów prawnych. Janusz Trzeciński i Genofewa Grabowska poszli jeszcze dalej: podpisali się pod regionalistycznym – aby nie powiedzieć separatystycznym – wezwaniem fińskich, angielskich i belgijskich delegatów, aby uznać nie tylko kompetencje parlamentów narodowych w unijnym procesie prawodawstwa, ale i rolę parlamentów regionalnych. "Narodowe parlamenty nie reprezentują w pełni regionów państw członkowskich, przede wszystkim tam, gdzie drugie izby parlamentów nie obejmują reprezentantów regionów." Dlatego przedstawiciele regionów powinni uczestniczyć w narodowych reprezentacjach, m. in. w Radzie Ministrów UE, uczestniczyć w opracowywaniu propozycji Komisji Europejskiej, być konsultowani przez Komisję, uczestniczyć we współpracy międzyparlamentarnej z Parlamentem Europejskim i mieć prawo zaskarżenia legislacji UE przed Trybunałem Europejskim. To prawo ma też przysługiwać Komitetowi Regionów, który dotąd jedynie doradza Radzie Ministrów UE. Jest to program europejskich regionalistów, pochodzących z tzw. konstytucyjnych regionów Europy (to znaczy z regionów z prawem legislacji, do których należą m. in. kraj Basków, belgijskie regiony Walonia i Flandria oraz Bawaria). Ich żądania sprowadzają się do tego, że regiony, które nie mogą przeforsować swoich postulatów w państwach członkowskich, mogłyby potem zablokować projekty swojego rządu federalnego na szczeblu europejskim. Organy UE byłyby *de facto* wręcz zmuszone uznać te regiony jako suwerenne na terenie UE. W Polsce takich regionów nie ma i poza paroma, mało wpływowymi rzecznikami autonomii Śląska nie ma nikogo, który chciałby je tworzyć. Jest więc co najmniej niejasne, dlaczego polscy reprezentanci w Konwencie podpisali ten dokument, tym bardziej, że przeniesienie nierozwiązanych problemów decentralizacyjnych niektórych państw członkowskich na forum całej Unii może okazać się wysoce problematyczne dla całej Unii. Czy regiony powinny wykorzystywać instytucje europejskie jako arbitrów w sporach z własnym rządem narodowym?

JAK KONWENT MOŻE ZYSKAĆ NA ZNACZENIU?

Nie widać, żeby debata na plenum i prace grup roboczych zmierzały do opracowania

konkretnych propozycji, które wypełniłyby ramy, określone przez Giscarda. Nad podstawowymi dylematami, takimi jak podział władzy, hierarchia i struktura instytucji unijnych, Konwent w ogóle jeszcze nie obradował. Im później Konwent się tym zajmie, pod tym silniejszą presją czasu będą jego członkowie i tym większe będzie prawdopodobieństwo, że rozstrzygnięcia zapadną poza Konwentem – w ustaleniach między największymi państwami, na Konferencji Międzyrządowej lub między największymi frakcjami Parlamentu Europejskiego. Unikając debaty o dylematach strategicznych, Konwent sam siebie pozbawia znaczenia. Dlatego też w lipcu tego roku grupa znanych i doświadczonych jego członków wezwała Konwent do podjęcia debaty na temat propozycji Chiraca, Blaira i Aznara. Chodziło o rozważenie kwestii dotyczących wyboru prezydenta Rady Europejskiej, rozszerzenia zasady głosowania większością kwalifikowaną w Radzie Ministrów UE i prawa Parlamentu do współdecydowania i wyboru prezydenta Komisji przez Parlament Europejski. Podpisali się pod tym też polscy delegaci Józef Oleksy i Edmund Wittbrodt.

Czas, aby zrobić następny krok i stworzyć grupę delegatów wokół jakiegoś wyrazistego projektu, którego inni nie będą mogli zignorować. Dotychczasowe projekty konstytucji lub traktatów konstytucyjnych są zbyt skomplikowane i zbyt szczegółowe jak na obecny etap prac Konwentu. Strategia Giscarda i Prezydium polega na tym, aby zmusić Konwent do debaty nad wieloma szczegółami, z których później ma powstać zwięzły, jednolity projekt. Przy takim trybie prac Prezydium ma szerokie możliwości wybierania "rodzynek" z ciasta, które upieką delegaci w grupach roboczych. Przez samo powoływanie lub niepowoływanie grup roboczych (lub też opóźnienia w ich powoływaniu) Prezydium może wpływać na ostateczny wynik prac. Jeśli teraz wokół poszczególnych projektów podziału władzy i struktury instytucji unijnych powstaną w Konwencie frakcje, ma on szansę odzyskać kontrolę nad swoją pracą.

Warto się więc zastanowić, jak powinien wyglądać polski projekt, wokół którego mogliby skupić się również inni delegaci. Można go skonstruować na bazie dotychczasowej polskiej debaty o przyszłości UE, przemówień polskich delegatów, stanowisk Polski na Konferencji Międzyrządowej przed szczytem w Nicei, a także na podstawie tego, co określiłbym jako "symulację idei w przyszłości", tzn. na podstawie wniosków z dotychczasowej polskiej debaty o UE, które uwzględniałyby również dalszą jej ewolucję w najbliższych latach. Doświadczenie pokazuje bowiem, że polskie stanowisko na temat przyszłości UE, obojętnie czy rządu, parlamentu, poszczególnych polityków czy społeczeństwa i ekspertów, nie jest czymś niezmiennym, lecz podlega czasami bardzo gwałtownym zmianom. Na początku politycy,

ekspersi i media dyskutowali o UE tak, jakby była to organizacja niemal czysto ekonomiczna, strefa wolnego handlu. W miarę trwania debaty pojawiało się coraz więcej elementów politycznych. Elity polityczne, a wraz z nimi (z pewnym opóźnieniem) opinia publiczna, zmieniły swoje początkowo niechętnie stanowisko wobec struktur wojskowych Unii, zaczęły dostrzegać zalety Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, pogodziły się z zapisami o "elastycznej współpracy" w Traktacie Nicejskim, odkryły zalety inicjatywy o wspólnych strukturach ochrony granic i zaczęły zauważać, że dla Polski stosowanie metody wspólnotowej może się okazać mniej groźne dla zachowania interesów narodowych niż metoda międzyrządowa.

Powoli – widać to w wystąpieniach polskich delegatów do Konwentu – upowszechnia się też przekonanie, że korzystanie z prawa weta w Radzie Ministrów UE wcale nie musi być oznaką siły danego państwa, ale często symbolem jego osamotnienia – a więc jego słabości. O sile państwa członkowskiego decyduje raczej jego zdolność do budowania koalicji i zjednywania sobie sojuszników.

PROJEKT DLA KONWENTU: SILNA, SPRAWNA, DEMOKRATYCZNA UNIA

Na szczycie w Nicei Polska uzyskała i po części wywalczyła sobie w instytucjach unijnych pozycję w znacznie mierze silniejszą od swojego potencjału demograficznego i ekonomicznego. Jako państwo o średnim potencjale demograficznym i słabym potencjale ekonomicznym będzie miała w Parlamencie Europejskim i w Radzie Ministrów UE pozycję niemal równą największym państwom członkowskim. Ta pozycja liczy się jednak tylko tam, gdzie rozstrzygnięcia zapadają w drodze głosowania. W przypadku zastosowania zasady jednomyślności wszyscy są równi, każdy ma przecież prawo weta. Dlatego niemal wszyscy przedstawiciele Polski w Konwencie opowiadają się za rozszerzeniem głosowania większościowego w Radzie i prawa współdecydowania Parlamentu Europejskiego. Konsekwencja nakazywałaby zapisać ten postulat jako zasadę w przyszłym Traktacie, z dokładnie ustaloną listą wyjątków w sprawach kultury, edukacji (gdzie UE i tak ma bardzo małe kompetencje), w sprawach socjalnych (gdzie wspólne standardy lub harmonizacja musiałyby pozbawić Polskę możliwości dogonienia bardziej rozwiniętych państw) i w sprawach obrony, gdzie należałoby zachować zasadę, że wszyscy decydują o tym, czy podjąć akcję, a jej późniejszy przebieg określają ci, którzy się do niej aktywnie włączają. W ten sposób zniknąłby też trójpodział unijnej struktury, jedynie Wspólna Polityka Bezpieczeństwa i Obrony zostałaby w gestii państw członkowskich, polityka zagraniczna zostałaby natomiast "uwspólnotowiona" (wśród polskich delegatów optuje za tym Oleksy, Hübner jest przeciw, reszta nie ujawnia

stanowiska).

Rozszerzenie zasady głosowania kwalifikowaną większością jest w Konwencji niemal bezsporne. Warto jednak zapytać, na czym ma polegać owa kwalifikowana większość. W porównaniu z Maastricht Traktat Nicejski utrudnia bowiem podejmowanie decyzji. Jeżeli uznamy, że siła państwa zależy od jego zdolności do tworzenia sojuszy, to tak wysoki, wynoszący niemal 3/4 głosów, próg w Traktacie Nicejskim bardzo ograniczałby rozwinięcie skrzydeł. Warto się więc zastanowić nad obniżeniem tego progu i wprowadzeniem np. podwójnej prostej większości (akt prawny jest przyjęty, jeżeli opowiada się za tym większość i odpowiednia liczba państw reprezentujących więcej niż 50 proc. ludności UE).

Idąc dalej tą ścieżką wspólnotową, rozwiązałby się też niemal automatycznie problem z zewnętrzną reprezentacją UE na forum międzynarodowym: urząd Javiera Solany zostałby przeniesiony do Komisji. Polska nie naruszyłaby swoich interesów, głosząc postulat likwidacji rotacyjnej prezydencji Rady Ministrów UE i unijnej "trójki" ministrów spraw zagranicznych, ponieważ nowi członkowie i tak nie mają szans na objęcie prezydencji w pierwszych latach członkostwa a potem w Unii 25 czy 27 państw ta perspektywa i tak odsuwa się w mglistą przyszłość.

Legitymizacja UE pochodzi zasadniczo z dwóch źródeł: od obywateli i od państw. W ten sposób Parlament Europejski ma bezpośrednią legitymację, a Rada Ministrów i Rada Europejska pośrednią – przez parlamenty narodowe, lub tam, gdzie prezydent jest wybierany bezpośrednio – przez wyborców. Działania Komisji trudno rozpatrywać w takich kategoriach. Tu lepiej stosować kryterium sprawności. Sprawność urzędu jest zazwyczaj tym większa, im lepiej jest regulowana jego odpowiedzialność i im lepiej rozgraniczone są jego kompetencje. Ani Rada, ani parlamenty narodowe nie są w stanie kontrolować Komisji na bieżąco, może to robić - jak pokazał upadek Komisji Santera - jedynie Parlament Europejski. Możliwość wyboru przewodniczącego Komisji przez Parlament zakończyłaby spór o to, przed kim i w jakim stopniu odpowiedzialna jest Komisja. Prawo wysunięcia kandydatów na przewodniczącego Komisji przysługiwałoby grupom posłów Parlamentu Europejskiego i grupom państw członkowskich według klucza, który zmuszałby do zgłoszenia ponadnarodowych kandydatów. Przewodniczący miałby prawo powoływania komisarzy i rozdzielania portfeli między nimi, cała Komisja musiałaby przedstawić Parlamentowi plan działania na 4 lata i uzyskać wotum zaufania. Zarówno Polska jak i niektóre inne kraje mają dobre doświadczenia z "konstruktywnym wotum nieufności", które

również w stosunkach między Komisją i Parlamentem mogłoby zapewnić niezbędną równowagę i stabilność. Oznaczałoby to również, że przewodniczący Komisji musiałby pochodzić z Parlamentu, co zmuszałoby każdego kandydata na ten urząd do ubiegania się o mandat w wyborach europejskich. W przypadku blokady Parlamentu np. w skutek nieuchwalenia budżetu, Rada Europejska miałaby prawo rozwiązać Parlament Europejski i rozpisać nowe wybory.

Sprawność Komisji, stróża Traktatów i Wspólnego Rynku (i według naszego projektu, również całości UE poza polityką obronną), zależy też od jej wewnętrznej organizacji. Komisja składająca się z 27 komisarzy mówiących 24 językami nie może sprawnie funkcjonować, jeżeli ma współpracować na co dzień. Posiadanie własnego komisarza jest ważnym elementem symbolicznym zwłaszcza dla małych państw, mimo, że komisarze są całkowicie niezależni od państw członkowskich. Wedle naszego projektu staną się oni jeszcze bardziej niezależni, będą bowiem odpowiedzialni jedynie przed Parlamentem i przewodniczącym Komisji, który by ich powoływał. W tej sytuacji mianowanie komisarzy przez kraje członkowskie, jak ma to miejsce obecnie, straciłoby sens, a tym samym liczba komisarzy nie byłaby zależna od liczby członków Unii. Państwa członkowskie wysuwałyby dowolną liczbę kandydatów na komisarzy, z których przewodniczący wybierałby członków Komisji w taki sposób, aby uzyskać wotum zaufania Parlamentu. Skład Komisji musiałby być możliwie jak najbardziej ponadnarodowy, bowiem tylko w takim przypadku przewodniczący miałby szansę zyskać akceptację Parlamentu. Państwa członkowskie, znając ten mechanizm, same zgłaszałyby kandydatów ponad podziałami. Dobrymi kandydatami są często politycy pochodzący z mniejszych państw, władający wieloma językami.

W ten sposób wewnętrzna organizacja Rady Ministrów UE automatycznie straciłaby na znaczeniu, ponieważ nie miałaby ona (poza polityką obronną) funkcji wykonawczych. Stałaby się praktycznie drugą izbą, zachowując swoje prawa w procesie legislacyjnym. Rada mogłaby sama rozstrzygnąć kwestię przewodnictwa w Unii, nie trzeba koniecznie regulować jej w Traktacie.

W tym projekcie nie ma miejsca ani na Kongres Narodów Giscarda, ani na instytucję zapewniającą parlamentom narodowym kontrolę nad realizacją zasady subsydiarności. Uważam, że jest to – podobnie jak opór przeciwko elastyczności i metodzie wspólnotowej – jeden z bastionów obrońców tradycyjnie pojętej suwerenności państwa, który padnie jako następny w debacie o reformie UE. Powód jest prosty: Parlamente narodowe nie są w stanie

kontrolować instytucji europejskich. Pokazuje to dobitnie działanie trzeciego filaru UE (sprawy wewnętrzne i sprawiedliwości), w którym instytucje unijne są kontrolowane przez wspólne gremia parlamentarne składające się z posłów Parlamentu Europejskiego i parlamentów narodowych, spotykających się od czasu do czasu na posiedzeniach. W trakcie jednej kadencji skład takiej wspólnej komisji mógłby się zmieniać nawet i 25-krotnie! – każdorazowo po wyborach w którymś z krajów członkowskich – a więc 6 razy do roku! Gdyby któryś z parlamentów narodowych w trakcie kadencji postanowił zmienić skład swojej delegacji do wspólnej komisji lub zostałby rozwiązany przed upływem kadencji, zmiany składu komisji byłyby jeszcze częstsze! Mogłoby więc dojść do sytuacji, w której na każdym posiedzeniu wspólnej komisji trzeba byłoby zaczynać debatę od początku. W przypadku członków dużych parlamentów praca w takich instytucjach dałaby się być może jeszcze jakoś pogodzić z obowiązkami w parlamencie narodowym, ponieważ duże parlamenty są dobrze wyposażone, a ich członkowie dobrze opłacani. Ale jak w takiej sytuacji mieliby sobie radzić członkowie parlamentów, składających się tylko z 100 lub 150 źle opłacanych posłów, którzy dodatkowo co parę tygodni musieliby jeździć na drugi koniec Europy, by uczestniczyć w debacie w takiej "komisji wspólnej"?

W ten sposób "włączenie narodowych parlamentów w proces decyzyjny UE", tak chętnie postulowane ostatnio w Konwencie, sprowadza się do kontroli instytucji UE przez przedstawicieli parlamentów dużych państw, jeżeli w ogóle. Jeśli chcemy większej kontroli nad realizacją zasady subsydiarności przez organy UE, to zrobmy to tak, jak u siebie w domu: za pomocą sądownictwa, tak, jak to proponowała grupa robocza Konwentu do spraw subsydiarności.

DRZWI SPECJALNIE UCHYLONE

Uważny czytelnik zapewne zauważył, że nie ma tu mowy o kilku kwestiach, co do których w Konwencie wydaje się istnieć porozumienie: włączenie Karty Praw Podstawowych do Traktatu, nadanie Unii osobowości prawnej (co wobec zarysowanego wyżej kształtu UE jest jedyną logiczną konsekwencją), podział traktatów na część konstytucyjną i wykonawczą.

Pozostaje też wiele problemów nierozstrzygniętych: problem narzędzi prawnych Unii, jej finansów (jeśli ma posiadać źródła własne w postaci podatku unijnego, to wymaga to ujednolicenia jego obliczania i pobierania), problem ratyfikacji i zmiany nowego Traktatu, problem nazwy dokumentu końcowego (Konstytucja, Traktat Konstytucyjny) i nazwy samej Unii (problem wywołany przez Giscarda), problem inicjatywy ustawodawczej (tylko dla Komisji, czy

też dla Rady i Parlamentu?). Moim zdaniem są one jednak wtórne w stosunku do podstawowej konstrukcji Unii i dylematów podziału władzy. Tymi fundamentalnymi kwestiami powinny zająć się grupy robocze i Konferencja Międzyrządowa. Inaczej Konwent będzie rozstrzygał jedynie o technicznych szczegółach, zaś Konferencja Międzyrządowa o Konstytucji Unii. Do takich wniosków skłaniają doświadczenia z Konferencji Międzyrządowej przed szczytem w Nicei.

Konwent jest szansą dla kandydatów. Nagła aktywizacja dużych państw wokół Konwentu pokazuje, że zauważyły one, że gra jest warta świeczki. Teraz mniejsze kraje, a zwłaszcza kandydaci, mogą jeszcze korzystać z przewagi, jaką daje im obecność niezależnych, niezwiązanych z interesami dużych państw posłów Parlamentu Europejskiego. Jeśli prawdą jest, że w interesie kandydatów i ich mało doświadczonych, często słabych instytucji jest wzmocnienie czynników wspólnotowych, to teraz jest pora, aby forsować odpowiednie zapisy. Wystąpienia przedstawicieli dużych państw, takie jak wspólny dokument Fischera i jego francuskiego odpowiednika Dominique'a de Villepina, inicjatywa ABC (Aznar, Blair, Chirac) zapowiadają sojusz państw dużych i silnych, Unię z elitarnym "twardym rdzeniem" i tym samym mniej solidarną.

Konwent musi rozpocząć debatę nad dylematami strategicznymi, w jego łonie muszą wykrystalizować się stanowiska i tym samym podziały, delegaci do Konwentu muszą przejąć inicjatywę od Prezydium. Nikt nie ma większego interesu w tym, by tak się stało, niż przedstawiciele państw kandydujących. Ten cel można osiągnąć tylko poprzez przedstawienie ponadnarodowego projektu, wokół którego może się skupić grupa delegatów z wielu krajów, nie tylko kandydujących. Jest to też świetny sposób na obalenie wielu mitów, narosłych wokół kandydatów, wedle których mieliby oni być "międzyrządowi", narodowi, niechętni pogłębieniu integracji.

Bruksela, styczeń 2003

Dr Klaus Bachmann - publicysta prasy niemieckojęzycznej w Brukseli, b. długoletni korespondent m.in. "Stuttgarter Zeitung" w Polsce, autor książki "Polska kaczka - europejski staw. Szanse i pułapki polskiej polityki europejskiej", wydanej przez Centrum Stosunków Międzynarodowych, oraz wielu artykułów na temat Unii w polskiej prasie m.in. w "Rzeczpospolitej", „Polityce” i w "Tygodniku Powszechnym". Ostatnia książka „Którędy do Europy” ukazała się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

redakcja merytoryczna: Magdalena Kurkowska

Czym jest Centrum Stosunków Międzynarodowych?

Centrum jest niezależnym, pozarządowym ośrodkiem zajmującym się polską polityką zagraniczną i najważniejszymi dla Polski problemami polityki międzynarodowej. Podstawowym zadaniem Centrum jest doradztwo polityczne, stałe monitorowanie działań rządu w polityce zagranicznej oraz opisywanie aktualnej sytuacji międzynarodowej Polski. W tym celu przygotowujemy raporty i analizy, organizujemy konferencje i seminaria, publikujemy artykuły i książki, prowadzimy projekty badawcze i grupy robocze. W ciągu naszej wieloletniej działalności udało nam się stworzyć grono stałych współpracowników oraz zbudować forum dyskusji o polityce zagranicznej dla polityków, parlamentarzystów, urzędników państwowych i lokalnych, dziennikarzy, naukowców, studentów i przedstawicieli innych organizacji pozarządowych. Uważamy, że wobec wyzwań, przed którymi stoi polska polityka zagraniczna, powinniśmy wspierać tego typu publiczną debatę w Polsce o polityce międzynarodowej. Założycielem i prezesem Centrum Stosunków Międzynarodowych jest Janusz Reiter.

Nasz adres:

UL . EMILII PLATER 25, 00-688 WARSZAWA
tel. (0048-22) 646 52 67, 646 52 68, 629 38 98, 629 48 69
fax.(0048-22) 646 52 58
e-mail: info@csm.org.pl

Zachęcamy do korzystania z naszej strony internetowej
www.csm.org.pl

Główni sponsorzy CSM

- Fundacja Forda
- Fundacja im. Stefana Batorego
- Fundacja Konrada Adenauera w Polsce
- German Marshall Fund of the United States
- Robert Bosch Stiftung
- Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej
- Hertie Stiftung
- Bank Przemysłowo-Handlowy PBK S.A.
- Alfried Krupp von Bohlen und Halbach-Stiftung

Projekty realizowane przez Centrum były wielokrotnie wspierane finansowo także przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP.

Wszystkie „Raporty i Analizy” dostępne są w wersji on-line na stronie internetowej Centrum Stosunków Międzynarodowych
www.csm.org.pl

Osoby zainteresowane regularnym otrzymywaniem „Raportów i Analiz” pocztą elektroniczną prosimy o przesłanie swoich danych na adres info@csm.org.pl lub faks +48 22 646 52 58. „Raporty i Analizy” są dostępne bezpłatnie.